

Tematy tygodnia

- 12 Adam Grzeszak
Sami swoi
– czyli kadry władzy
- 16 Łukasz Wójcik
MSZ: Ministerstwo
głupich kroków

Polityka

- 20 Rafał Kalukin
Którędy do centrum
(politycznego)
- 24 Sławomir Sierakowski
Populizm wschodni
i zachodni

Społeczeństwo

- 26 Edwin Bendyk
Urszula Schwarzenberg-Czerny
Jak świętować stulecie
na ziemiach zachodnich
- 30 Marta Sapała
Czy z biedy można uciec?
- 33 Grzegorz Rzeczkowski
Pranie pieniędzy
w polskich bankach
- 36 Joanna Brych
Emerytury dla baletu

Rynek

- 38 Cezary Kowanda
Mieszkanie Plus:
co kryje się za szumnymi
obietnicami
- 41 Joanna Solska
PiS znów wyciąga Kulczyka

Świat

- 44 Paweł Kowal
POLSKA-UKRAINA
Coraz gorsze relacje
- 48 Artur Domosławski
BRAZYLIA
Polityka jak telenowela
- 51 Ziemowit Szczerek
MACEDONIA-GRECJA
Kim są ci Macedończycy

Historia

- 56 Jakub Petelewicz
Stan badań nad Zagładą



12

Dobry fachowiec, bo partyjny



26

TWOJE
MIASTO
2018
TWOJ
WYBÓR

Kłopoty z rocznicą
niepodległości

38

Państwo ci nie zbuduje



72

Pani ambasador z Ameryki

- 60 Jolanta Zarembina
Tuszowanie
Wielkiego Głodu

Nauka

- 62 Marcin Ryszkiewicz
Ile kultury w biologii
- 65 Paweł Walewski
Anatomia ludzkiej pamięci
- 66 Leszek Pacholski
Jak naprawiać naukę

Ludzie i style

- 68 Bartek Chaciński
Od Tytusa do Smoleńska
- 72 Tomasz Zalewski
Nowa przedstawicielka
USA w Polsce

Kultura

- 80 Reż. **Paul Thomas Anderson**
o swoim filmie „Nić widmo”
i nominacjach do Oscara
- 84 Rozmowa z **Marcinem Wichą**,
laureatem Paszportu POLITYKI
w kategorii Literatura
- 86 Aleksandra Żelazińska
Niepoprawne
lektury szkolne
- 88 Justyna Sobolewska
Poetki z Instagrama
- 90 KAWIARNIA LITERACKA
Pablopavo
- 92 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 100 Marcin Piątek
Bilans olimpijski

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Za stołem
- 76 Afisz • 94 Passent
- 95 Chutnik i Plebanek
- 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Strach się nie bać

Lekkomyślność i brawura niektórych osób zaskakuje. Niedawno w różnych miejscach Warszawy pojawiły się plakaty ze zdjęciami mieszkańców stolicy w różnym wieku i wydrukowaną wielkimi literami informacją, że ci mieszkańcy nie boją się uchodźców. W szczególności nie boją się „pomagać uchodźcom”, „zakumplować się z uchodźcami”, a nawet „stać w obronie uchodźców”.

Z treści plakatów nie wynika, dlaczego te osoby cierpią na zanik instynktu samozachowawczego i się nie boją, skoro powszechnie wiadomo, że stawanie w obronie osób, które chociaż trochę przypominają uchodźców, grozi poważnymi konsekwencjami, takimi jak wyrzucenie z tramwaju, utrata zdrowia, a nawet trwałe kalectwo. Rząd i państwowa telewizja przed pomaganiem uchodźcom ostrzegają od dawna. Po tym, co Jarosław Kaczyński, Beata Szydło czy Mariusz Błaszczak opowiadali o uchodźcach, tych ostatnich naprawdę trudno się nie przestraszyć, zwłaszcza że nigdzie ich nie widać, a wiadomo, że to, czego nie widać, jest najstraszniejsze.

Oczywiście Beata Szydło i Mariusz Błaszczak też są straszni, ale przynajmniej ich widać i słychać, tymczasem uchodźców – nie, co tylko zwiększa obawę, że w końcu się pojawią i nas czymś zarażą. Dowodem na to, że uchodźców i innych osób pochodzenia niepolskiego trzeba się bać, jest list władz Uniwersytetu Medycznego



w Wrocławiu z apelem o objęcie specjalnym nadzorem „dostępu studentów pochodzenia arabskiego i nigeryjskiego do odczynników chemicznych” w celu „zapobieżenia ewentualnemu wykorzystaniu tych odczynników do sporządzenia materiałów wybuchowych”. Skłonność arabskich i nigeryjskich studentów medycyny do sporządzania takich materiałów jest ogólnie znana, dlatego apelowi nie należy się dziwić. Dziwi natomiast histeryczna reakcja tych studentów, którzy twierdzą, że władze uczelni nie mają prawa przyjmować ich na studia, brać za to pieniędzy, a następnie traktować ich „w taki sposób”.

Jeszcze bardziej dziwi to, że po paru dniach pod presją opinii publicznej władze uczelni za opublikowanie listu przeprosiły i zadeklarowały, że pragną kształcić przyszłych lekarzy „w duchu otwartości”. Moim zdaniem to bardzo kontrowersyjna decyzja, bo otwartość musi mieć jakieś granice i nie powinna obejmować studentów, których pochodzenie wskazuje na to, że okazaną im otwartość mogą cynicznie wykorzystać do przejęcia chemicznych odczynników w celu sporządzenia bomby. Jeśli studenci pochodzenia arabskiego i nigeryjskiego koniecznie muszą uczyć się u nas medycyny, niech to robią na nadmuchiwanych manekinach, a od odczynników niech się trzymają z daleka.

Zmień dom w miejsce pełne pogody!

#ZimieNaZłość

GERDIE
poduszka
12,99

Szarówkę za oknem... zostaw za oknem, a w domu
ciesz się wiosennym nastrojem bez względu na pogodę.
Zobacz proste porady na [IKEA.pl](https://www.ikea.pl)

NIECH ŻYJE DOM!



Kup książkę

Antypolonizm



Jerzy Baczyński

Po monachijskiej wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego, który w kontekście Holocaustu wspominał, że istnieli także „żydowski sprawcy”, wszyscy zastanawiają się, po co on to pisał? Nie sądzę, aby odpowiadając na osobiste, prowokujące pytanie izraelskiego dziennikarza, Morawiecki miał ułożoną kwestię; raczej chwycił się myśli, do której miał najbliżej. Takiej mianowicie, że gwałtowna reakcja izraelska na ustawę o IPN wynika z nieczystego sumienia samych Żydów, którzy (także) mieli swoich szmalcowników i kolaborantów, ale nie chcą się do tego przyznać. Wszystko jedno, czy to był skrót myślowy, czy niezręczność językowa, powszechna interpretacja jest taka, że polski premier w jednej linii ustawił niemieckich, polskich, żydowskich „sprawców” Holocaustu. Jest niesłychanie krępujące, aby przy okazji żalosnej międzynarodowej awantury – wywołanej przez PiS, zapewne przez głupotę, a podgrzewanej przez cynizm – przypominać o wyjątkowości straszliwego doświadczenia Zagłady, wracać do obrazów Holocaustu, nieodczytywalnych dziś i niepojmowalnych dramatów etycznych. Raczej nie w takich okolicznościach, nie w takim kontekście. Ale też i nie można tego zostawić bez słowa.

Więc tylko tyle: tak, byli (również) po stronie żydowskiej kolaboranci i szmalcownicy. Roman Frister, nasz zmarły przed trzema laty redakcyjny kolega, więzień Auschwitz, pisarz i wieloletni korespondent POLITYKI w Izraelu, w swej bestsellerowej książce „Autoportret z blizną” pisał o tym, jak sam stał się ofiarą żydowskiego donosiciela. A Calel Perechodnik, funkcjonariusz żydowskiej policji w getcie otwockim, którego najbliżsi zginęli w Treblince, a on sam w powstaniu warszawskim, swoje brutalnie rozrachunkowe pamiętniki („Świadeństwo. Czy ja jestem mordercą?”) dedykował „niemieckiemu sadyzmowi, żydowskiemu tchórzostwu i polskiej podłości”. Tak, mamy setki raportów z piekła gett i obozów, gdzie zagłodzono i spopielono człowieczeństwo na równi z ciałami. I co? Czy funkcjonariuszy judenratów i obozowych Sonderkommando niezłomni, bohaterscy Polacy z PiS będą nazywali tchórzami? W czym imieniu wymuskany i arogancki młodzian Patryk Jaki broni dziś „honoru Polaków” i wymierza moralne racje? Można tylko podpisać się pod zdaniem Szewacha Weissa: „jestem zdruzgotany i przybity”.

Ciężką wizerunkową i polityczną wpadkę Morawieckiego można by od biedy zapisać na konto braku doświadczenia i zgubnej skłonności opowiadania, co ślina na język przyniesie. Ale niedawno podobną myśl wyraził inny wysoki przedstawiciel obozu władzy

prof. Andrzej Zybertowicz, mówiąc, że „Żydzi wstydzą się swojej bierności w czasach Holocaustu” i dlatego antysemityzm Polaków jest im potrzebny jako dodatkowe usprawiedliwienie. Obie te wypowiedzi, sądzę, nie są przypadkowe, ilustrują nową doktrynę polskiej polityki zagranicznej, dość precyzyjnie wyłożoną przez Jarosława Kaczyńskiego w opublikowanym w ubiegłym tygodniu, i zbyt szybko zapomnianym, wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy”. Otóż prezes PiS wykląda tam teorię światowego antypolonizmu, co „jest dziś zjawiskiem bardzo groźnym, jeśli nie najgroźniejszym z punktu widzenia interesów naszego kraju”. Jak ów antypolonizm (prezes używa też określenia „polonofobia”) zwalczać? Jarosław Kaczyński mówi, że bardzo skutecznym, a dotąd w ogóle nieużywanym przez Polskę narzędziem polityki zagranicznej jest zawstydzanie „odwoływanie się do złego sumienia zachodnich sojuszników”, przypomnienie tego, o czym chcieliby zapomnieć. I Polska powinna to właśnie robić. „Teraz jesteśmy na początku kontrofensywy”.

Chyba więc nie ma przypadku w narracjach Morawieckiego, Zybertowicza, całej pisowskiej propagandy, która wreszcie „mówi prawdę w oczy”. Stąd zapewne w stosunkach z Niemcami powrót tematu reparacji wojennych. Stąd, uznane za wielki sukces nowej dyplomacji, „przyznanie się” Angeli Merkel do odpowiedzialności Niemców za zbrodnie wojenne (choć Niemcy nigdy temu nie zaprzeczali). Stąd wysunięcie na plan pierwszy w relacjach z Ukrainą zbrodni wołyńskiej. Dlatego też, co mogło wydawać się niezrozumiałe, w odpowiedzi na zarzuty prezydenta Macrona, dotyczące łamania przez rząd PiS standardów praworządności, premier Morawiecki przywoływał kolaboracyjne rządy Vichy. I teraz te reakcje na krytykę ze strony Izraela i społeczności żydowskiej wobec „ustawy o Holocaustie” – jak już ją nazwała światowa prasa.

Kłopot w tym, że sama doktryna antypolonizmu i wizja polskiej dyplomacji jako wędrownego sumienia narodów, choć jakoś tam użyteczne w polityce krajowej, w relacjach międzynarodowych gwarantują jedynie samoizolację Polski, ruinę wizerunku, zesłizgnięcie się Polski do kategorii państw specjalnej troski, politycznego drugiego sortu. Kraju, uprawiającego jakąś niezrozumiałą, samobójczą „politykę głupich kroków”, budowania konfliktów. Widać zresztą, jak PiS się męczy, próbując przed Europą odgrywać komedię łagodzenia wizerunku. Wyjazdy nowego premiera do Brukseli i Berlina – gdzie zbierał, głównie kurtuazyjne zapewnienia o uwadze i powadze, z jaką nasi partnerzy patrzą na Polskę – skończyły się monachijską klęską. Niestety, ryzyko to było od początku wpisane w misję Morawieckiego. Nowy premier, o czym pisaliśmy, przy wszystkich pozorach biznesowej racjonalności jest człowiekiem głęboko ideologicznym, osobiście przekonany, że Polska była dotąd upokarzana, a jego zadaniem jest pomóc jej wstawać z kolan. Bez wątpienia premier jest wyznawcą doktryny „światowego antypolonizmu”, a zagraniczne reakcje na wystąpienie monachijskie tylko go w tym utwierdzą. Morawiecki dał się zbyt szybko zdegradować do pozycji nowego wcielenia Beaty Szydło, tyle że ze znajomością języka angielskiego, co chyba jedynie podwaja ryzyko kompromitacji. Miało być nowe otwarcie na Europę i na polityczne centrum w kraju, a wyszło jak zwykle. Jeśli jednak po kolejnym podgrzaniu „wojny z Żydami” sondaże PiS znowu wzrosną, trzeba będzie przyjąć, że być może większość Polaków ma taką władzę, na jaką zasługuje.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Frasyniuk już wygrał



Rafał Kalukin

Odławiając stawienia się u prokuratora, Władysław Frasyniuk sam poprosił o przymusowe doprowadzenie. Niemniej pełen policyjny pakiet – z wizytą o szóstej rano, kamerą i kajdankami – był już autorskim pomysłem rządzących. Trudno przecież podejrzewać oddelegowanego policjanta o samodzielną inicjatywę w niezbyt prestiżowej sprawie. Bo choć teoretycznie miał prawo skuć słynnego opozycjonistę, to już żadna służbowa reguła wprost go do tego nie zmuszała, zwłaszcza z rękami z tyłu. W praktyce zaś po prostu nie powinien był tego robić, skoro zatrzymywany zachowywał się spokojnie i wykonywał polecenia.

Komuś na górze musiało się więc zamażyć utarcie nosa Frasyniukowi. Tylko po co rządzącym obrazek legendarnego działacza, którego po 35 latach reżim znów zakuwa w kajdany? Szerokich mas to nie uwiedzie. A tylko skończony głupiec mógłby oczekiwać, że Frasyniuka taka represja przestraszy. Prędzej już dodatkowo zmotywuje do trwania w obywatelskim nieposłuszeństwie. W tym przypadku wobec pisowskiej ustawy o zgromadzeniach, która ogranicza konstytucyjne prawo publicznego demonstrowania poglądów. Choć wiadomo, że katalog zarzutów jest znacznie szerszy.

Obywatelskie nieposłuszeństwo jest najskrajniejszą formą protestu dostępną obywatelowi. To jak przekroczenie Rubikonu: wypowiadając posłuszeństwo państwu w imię naruszonych przez nie fundamentalnych wartości, bierzemy na siebie konsekwencje tego czynu. Wraz ze świadomością nieuchronności ich nadejścia. Lecz paradoksalnie to właśnie moment wyboru tej drogi czyni człowieka wolnym. Wszelkie represje, na które dobrowolnie się godzimy, siłą rzeczy muszą ustąpić przed etyczną siłą podjętego przekonania. Nowożytnym prekursorem tej postawy był amerykański pisarz Henry David Thoreau, który odmówił płacenia podatków na rzecz państwa sankcjonującego niewolnictwo. Wspominał potem, że wtrącony

do więzienia nagle uświadomił sobie, jak bezbronne jest państwo dysponujące jedynie „kamieniami i cementem” w konfrontacji z wewnętrznie wolną jednostką. „Tedy państwo nigdy celowo nie staje twarzą w twarz z ludzkim umysłem ani z intelektem, ani z moralnością – ale tylko z ciałem i ze zmysłami. Nie jest uzbrojone w rozum ani w uczciwość wyższego rzędu, lecz w większą siłę fizyczną. Nie urodziłem się po to, aby ktoś mnie zniewalał. Będę oddychał tak, jak mnie się podoba. Zobaczmy, kto jest silniejszy” – konkludował Thoreau.

Sukcie Władysława Frasyniuka tak samo staje się symbolicznym dowodem bezsilności państwa PiS, któremu rzucił wyzwanie obywatel zdeterminowany, świadomy swych praw i własnej biografii. Cóż ono bowiem może mu gorszego uczynić? Zwłaszcza mając uwikłaną politycznie prokuraturę oraz powszechnie znany apetyt na sądy. Omnipotencja staje się pułapką; nie istnieje apolityczna fasada, za którą można się schować. Skazać w tej sytuacji Frasyniuka? To uwiarygodnić jego zarzut o upadku demokracji. Odpuścić? Powstanie precedens otwierający wielką przestrzeń dla społeczeństwa obywatelskiego. W kajdankach czy bez Frasyniuk jest bowiem wolnym człowiekiem. I niezależnie od finału sprawy już teraz ją wygrał.

KOMENTARZ

Tonący brzydko się chwyta



Adam Szostkiewicz

Najpierw obóz obecnej władzy uwikłał Polskę w międzynarodowy kryzys dyplomatyczny, teraz próbuje się z niego wywikłać. W tym celu władza podparła się książką Hannah Arendt „Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła”. Cytował ją w telewizyjnym programie „Kawa na ławę” wiceminister Patryk Jaki: „Dla Żydów rola, jaką przywódcy żydowscy

odegrali w unicestwieniu własnego narodu, stanowi niewątpliwie najczarniejszy rozdział całej tej ponurej historii. (...) W kwestii współdziałania nie było żadnych różnic pomiędzy wysoce zasymilowanymi społecznościami Żydów środkowo- i zachodnioeuropejskich a mówiącymi po żydowsku masami na Wschodzie”.

Tak się składa, że jestem autorem polskiego przekładu książki Arendt. Miała dotąd u nas trzy wydania, pierwsze z ingerencjami cenzury (m.in. dotyczącymi zbrodni katyńskiej), dwa już w wolnej Polsce. Jest to praca należąca do kanonu lektur akademickich, fascynująca opowieść o polityce, moralności, filozofii prawa, o możliwości wymierzenia sprawiedliwej kary za zbrodnie tej skali co zagłada Żydów europejskich. Oryginał ukazał się w 1963 r., wzbudzając ogromne zainteresowanie szerokiej publiczności, a nie tylko badaczy nazizmu i Holocaustu. Jednocześnie zaś gorące spory w środowiskach żydowskich i akademickich w USA i Izraelu.

Trwają one do dziś. I pozostają do dziś nierozstrzygnięte. Nigdy jednak nie użyto tej książki w bieżącej grze politycznej. A tak stało się u nas.

Cytat przywołany przez Jakiego przywołują też różnej maści antysemita: widzicie napisała to Żydówka, która uciekla przed nazizmem do USA. Arendt nie zrównała jednak ofiar z katami. Ofiary traktowała jak ludzi wrzuconych w sytuację totalitarną i muszących w niej podejmować decyzje, katami gardziła. Swoje korespondencje z procesu Eichmanna, drukowane najpierw w „New Yorkerze”, rozbudowała o historię Holocaustu pod okupacją niemiecką. Oparła się na dostępnych wtedy materiałach. Nie miała dostępu do archiwów za żelazną kurtyną. Gdyby dożyła upadku bloku radzieckiego, być może zrewidowałaby na ich postawie niektóre swoje tezy. Chwył z książką Arendt jako młot na krytyków ustawy o IPN i jej fatalnych międzynarodowych skutków jest żalosnym nadużyciem.



Otorbianie

Jak widać, w niezbyt licznym ujawnionym zbiorze kandydatów do KRS i ich pełnomocników występują silne zależności i powiązania, w których postacią centralną jest Zbigniew Ziobro.

Z 18 kandydatów do pisowskiej Krajowej Rady Sądownictwa znamy już dane 17. Wszystkie stowarzyszenia sędziowskie i cała opozycja zaapelowały o to, aby sędziowie do KRS nie kandydowali. Nikt rozsądny nie miał specjalnych nadziei, że wyboru nie da się przeprowadzić z braku kandydatów – musiałoby ich być mniej niż 15, a wśród ponad 8 tys. sędziów minimum 15 arystów da się znaleźć bez trudu. Niemniej – i to obserwacja pierwsza – osób takich jest niewiele więcej niż 15, co wskazuje na dużą siłę oddziaływania stowarzyszeń sędziowskich.

Pośród ujawnionych 17 kandydatów jedna jest z naszego punktu widzenia mało interesująca, to kandydatka zgłoszona przez grupę ok. 5 tys. obywateli. Całą resztę zgłosili sędziowie – pod zgłoszeniem musi się podpisać ich minimum 25, ale – uwaga, uwaga! – sędziowie popierający mogą zgłosić dowolną liczbę kandydatów. Teoretycznie 16 kandydatów „sędziowskich” mogła zgłosić ta sama grupa minimum 25 sędziów.

Pisowski ustawodawca przewidział, że dociekliwi posłowie opozycji i dziennikarze mogą sobie zażyczyć wiedzy o tym, jacy to sędziowie i ilu zgłosili kandydatów do KRS. Lista z podpisami stanowi załącznik do zgłoszenia i stąd przepis, że załączników nie podaje się do wiadomości posłów i opinii publicznej.

Ale z tego, co się podaje, i tak można sporo wynioskować. Na 16 interesujących nas kandydatów siedmioro to sędziowie świeżo awansowani na stanowiska prezesów lub wiceprezesów sądów przez ministra Zbigniewa Ziobrę, który korzysta z uprawnień przyznanych mu przez pisowską nowelizację ustawy o ustroju sądów powszechnych. Do tej siódemki można dołączyć śmiało ósmą kandydatkę, która wprowadziła na prezesów z ręki ministra Ziobry nie awansowała, ale jako pełnomocnik zgłosiła ją jej życiowy partner, który – i owszem – awansował. Ale to nie koniec, bo oprócz kandydatów coś niecoś wiadomo też o zgłaszających ich w imieniu grupy sędziów pełnomocnikach. Na przykład pełnomocnikiem kandydata Dariusza Drajewicza (z ręki ministra – wiceprezesa Sądu Okręgowego w Warszawie) jest sędzia Łukasz Kluska – prezes Sądu Rejonowego w Pruszkowie, także z ręki ministra.

Skoro sędzia Drajewicz został zgłoszony, to sam nie mógł się uchylić od zgłaszania – i zgłosił sędziego Macieja Miterę, którego minister przeffancował z sędziego delegowanego do ministerstwa na prezesa sądu. Jeżeli tak badać powiązania, to kandydaci do KRS, którzy dotąd nie awansowali, przestają być tacy niewinni. Sędziowie Jędrzej Kondek i Grzegorz Furmankiewicz są sędziami sądów rejonowych, ale pełnomocnikiem ich obu jest sędzia Marcin Romanowski – delegowany przez ministra Ziobrę na stanowisko dyrektora Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości podległego panu ministrowi.

Jak widać, w niezbyt licznym ujawnionym zbiorze kandydatów i pełnomocników występują silne zależności i powiązania, w których postacią centralną jest minister Ziobro. Czy można uzyskać jakąś wiedzę o całym zbiorze sędziów, którzy popierają kandydaty do KRS, skoro kancelaria Sejmu, powołując się na ustawę, odmawia podania do wiadomości publicznej załączników? Nie jest to niemożliwe.

Zarówno opozycja, jak i dziennikarze oraz organizacje pozarządowe, powołując się na ustawę o dostępie do informacji

publicznej, mogą zadać parę kluczowych pytań, na które trudno będzie PiS nie odpowiedzieć (a w każdym razie uzasadnić odmowę odpowiedzi). Pierwsze pytanie to: ilu sędziów podpisało poparcie dla co najmniej jednej kandydatury do KRS? Teoretycznie, gdyby zbiory osób zgłaszających kandydatury były rozłączne, to liczba ta wyniosłaby nie mniej niż 400 sędziów (25 razy 16). No, ale wiemy, że w co najmniej dwóch przypadkach zbiory mają co najmniej jednoelementową część wspólną.

Następne pytanie powinno zatem brzmieć: ilu sędziów podpisało poparcie dla co najmniej dwóch kandydatów? To pozwoli odpowiedzieć na pytanie, jak liczny jest zbiór popierających, który jest częścią wspólną co najmniej dwóch podzbiorów z podpisami poparcia dla poszczególnych kandydatów. I wreszcie pytanie trzecie i czwarte: ilu spośród sędziów, którzy podpisali poparcie dla co najmniej jednego kandydata do KRS, w momencie podpisywania poparcia było sędziami delegowanymi do Ministerstwa Sprawiedliwości? Oraz: ilu było takich sędziów wśród tych, którzy poparli co najmniej dwóch kandydatów?

Jeśli okaże się, że liczba sędziów, którzy poparli co najmniej dwóch kandydatów, stanowi duży odsetek liczby sędziów, którzy poparli co najmniej jednego kandydata (np. od kilkunastu do kilkudziesięciu procent), a wśród takich sędziów liczba sędziów delegowanych do ministerstwa także stanowi liczący się odsetek, to będzie to dowód na to, że akcja zgłaszania i popierania kandydatów do KRS była sterowana bezpośrednio przez ministra sprawiedliwości i jego współpracowników. „Dobra zmiana” może mieć w związku z sędziami delegowanymi spory kłopot.

10 lat temu Trybunał Konstytucyjny uznał, że orzekanie przez sędziów delegowanych do urzędów władzy wykonawczej jest sprzeczne z konstytucją, znajdują się oni bowiem w sytuacji urzędniczej podległości i nie dają gwarancji niezawisłości sędziowskiej. W ślad za wyrokiem TK zmieniono prawo o ustroju sądów powszechnych. KRS z mocy konstytucji ma stać na straży niezawisłości sędziów. Gdyby się zatem okazało, że sędziowie delegowani, którzy pozbawieni są na czas delegacji przymiotu niezawisłości, odegrali kluczową rolę w wykreowaniu składu instytucji, która ma stać na straży niezawisłości, PiS znalazłby się w sporym kłopotcie na forum unijnym w związku z procedurą z art. 7 traktatu o UE.

Cały proces kreowania składu KRS jest też interesujący z punktu widzenia funkcjonowania podziału i równowagi się władz publicznych. Na poziomie makro pisowska władza ten podział znosi. Niemniej realnie równie istotny jak wymiar makro jest wymiar mikro – wewnętrzne blokady i hamulce wpisane w poszczególne instytucje państwa, które polegają na tym, że obsługujący je urzędnicy, funkcjonariusze, sędziowie wykazują opór przeciwko nadmiernym roszczeniom władzy wykonawczej. Jeśli okaże się, że w procesie podporządkowywania sobie władzy sądowniczej „dobra zmiana” może liczyć wyłącznie czy przede wszystkim na ludzi bezpośrednio od siebie zależnych, będzie to dowód na to, że we władzy sądowniczej mechanizm wewnętrznych hamulców zadziałał, a obóz PiS na istotnych polach jest przez III Rzeczpospolitą otorbiany.



© SPUTNIK/EAST NEWS

Prawda czarnych skrzynek

Profesjonalne badania katastrof lotniczych obnażają nieudolność podkomisji Macierewicza.

Im bliżej kolejnej rocznicy katastrofy smoleńskiej, tym głośniejsze o nowych „dowodach” na zamach. Antoni Macierewicz robi, co może, by zgodnie z zapowiedzią prezesa Kaczyńskiego 10 kwietnia wreszcie „była prawda”, czyli koniec trwającego od ośmiu lat tzw. wyjaśniania przyczyn katastrofy smoleńskiej. Ogłosił

właśnie, że na eksplozję wskazują drzwi samolotu wbite głęboko w ziemię.

Niedługo przedtem telewizja National Geographic wyemitowała kolejny odcinek swej słynnej serii „Katastrofy w przestworzach”, poświęconej zestrzeleniu malezyjskiego boeinga 777 nad Ukrainą w lipcu 2014 r. („Kto zestrzelił MH17?”). Kilka miesięcy wcześniej zajęła się inną głośną katastrofą – rosyjskiego airbusa A321, który w październiku 2015 r. eksplodował nad Synajem („Tragedia nad Egiptem”). Oba pokazują dobitnie, że wbite w ziemię drzwi to żaden dowód na zamach, a wybuch, który niszczy samolot pasażerski, pozostawia ślady, ale zupełnie inne.

Przed wszystkim w czarnych skrynkach. W obu przypadkach śledczy trafili na właściwy trop dzięki zapisowi rejestratora CVR (Cockpit Voice Recorder), który nagrywa za pomocą trzech mikrofonów rozmowy załogi w kokpicie, a nie FDR (Flight Data Recorder) utrwalającego wszystkie najważniejsze parametry lotu.

Jak do tego doszli? W obu przypadkach, tuż przed urwaniem zapisu, czułe mikrofony umieszczone przy fotelach kapitanów wychwyciły dziwne odgłosy przypominające wybuchy. Dzięki analizie rozchodzenia się fal – szybszej uderzeniowej i wolniejszej

dźwiękowej (czujniki zarejestrowały obie, co przeczy teorii „ekspertów” Macierewicza, że tej drugiej nie dałoby się zarejestrować) – zlokalizowano miejsce, w którym doszło do eksplozji. W przypadku malezyjskiego boeinga trzy metry od kokpitu, po jego lewej stronie, trochę powyżej stanowiska kapitana. W przypadku airbusa – z tyłu maszyny w luku bagażowym, po stronie dowódcy. Tam terroryści z ISIS zostawili bombę ukrytą w puszcze po napoju, przemycaną na pokład podczas postoju na lotnisku w Egipcie. Eksplozje doprowadziły do rozerwania obu maszyn w powietrzu. Dopiero po analizie czarnych skrzynek eksperci wskazali dokładne miejsca wybuchów, które pozostawiły ślady na poszyciu obu maszyn i znaleźli ślady chemiczne i fizyczne, czyli pozostałości materiału wybuchowego na poszyciu (A321) oraz m.in. charakterystyczne dla pocisku ziemia–powietrze odłamki mające dodatkowo razić cel (tzw. muszki wydobyte z ciała kapitana i poszycia B777).

Jak to się ma do polskiego tupolewa? Nagranie z kokpitu Tu-154M, oczyszczone niemal do perfekcji, odsłuchiwało przez różnych ekspertów dziesiątki razy. Poza odgłosami uderzeń o drzewa, nie ma na nich nic, co przypominałoby wybuch jakiegokolwiek ładunku. GR

REKLAMA

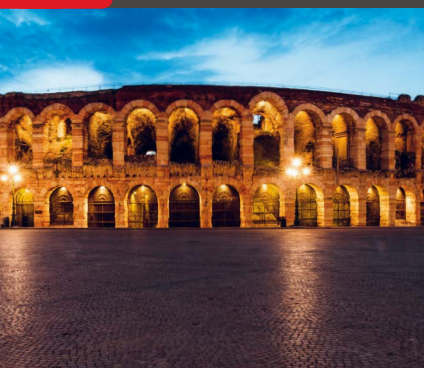
Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów w cenie

NAJWIĘKSZY W SKANDYNAWII
ORGANIZATOR
WYCIECZEK
OBJAZDOWYCH

TERAZ W POLSCE

4 dni Oceny gości ★★★★★ 4,4



Opera w Weronie Nabucco/Aida, Aida/Carmen i Cyrulik sewilewski/Nabucco

Od **3 698 zł**

Wyloty 06/07, 09/07 i 16/08 2018

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Mediolanu. Zwiedzanie Bergamo. **Dzień 2.** Czas wolny w Weronie, wizyta w winiarni i wieczór z operą. **Dzień 3.** Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i opera. **Dzień 4.** Jezioro Como i powrót z Mediolanu do Warszawy.

- Hotel: 4* (3 noce)
- Wyżywienie: 3 śniadania, 1 obiad, 2 kolacje

Więcej na www.albatros.pl

Cena każdej wycieczki obejmuje: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy w obie strony, zakwaterowanie w pokojach 2-osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

11 dni



Armenia i Gruzja – perły Kaukazu

Od **5 998 zł**

Wyloty 08/09 i 01/10 2018

- Hotele: 3*/4* (9 nocy)
- Wyżywienie: 8 śniadań, 4 obiady, 5 kolacji

Chrześcijańskie klasztory sprzed tysięcy lat, urzekający krajobraz, znakomite lokalne potrawy, wyborne wino oraz ujmujące miasteczka Erywań i Tbilisi.

Więcej na www.albatros.pl



Cyril doczekał

Prezydent Zuma zrezygnował z walki o władzę, nową nadzieją RPA został założyciel związków zawodowych górników i multimilioner Ramaphosa.

W 1994 r. miał być zastępcą i następcą prezydenta Nelsona Mandeli: **Cyril Ramaphosa**, założyciel związków zawodowych górników, organizator największego strajku w kopalniach w dziejach RPA. Ale partyjna starszyna uznała, że jest za młody, jeszcze ma czas, i wołała Thabo Mbekiego. Zgorzkniały Ramaphosa uciekł z polityki do biznesu, gdzie właśnie otwierały się możliwości dla takich jak on. Zrobił błyskotliwą karierę, miał udziały we wszystkim: od telefonii komórkowej, poprzez media, po lokalną sieć McDonalds. Miłośnik win, kolekcjoner szybkich samochodów, hodowca wyszukanych ras bydła, z majątkiem blisko pół miliarda dolarów.

Ale nie wytrzymał i wrócił do polityki, która od czasów Mandeli staczała się po równi pochyłej, jako zastępca – i spodziewany następca – prezydenta Jacoba Zuma. Zuma szykował jednak na to stanowisko swoją byłą żonę (myśląc o własnych gwarancjach bezpieczeństwa). W grudniu ub.r. obydwie starli się w wyborach na szefa rządzącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego, gdzie niewielką większością wygrał Ramaphosa. I wypowiedział wojnę Zumie, nie czekając do przyszłorocznych wyborów.

Na Zumie ciąży obecnie 783 zarzuty prokuratorskie, z różnych lat i sytuacji. Cieszy się jak najgorszą reputacją: bezrobocie sięga 40 proc., rekordowa jest frustracja społeczna i poczucie straconej szansy. AKN ma już zresztą z kim przegrać: opozycyjny Sojusz Demokratyczny rządzi z powodzeniem w trzech wielkich miastach i chce sięgnąć po więcej. Ale 75-letni Zuma, dumny poligamista, miał niebawem instynkt przetrwania, kłopoty go mobilizowały. Przeżył siedem głosowań w sprawie swego odwołania i nieodmiennie głosił, że lud go kocha, a reszta to spisek imperialistów. Teraz zrozumiał, że kolejnego by już nie przetrzymał – i rzucił ręką na ring. Prezydencki urząd objął 65-letni Ramaphosa. Co z nadzieją przyjęły koła biznesowe oraz szerokie kręgi społeczne, bo po Zumie każdy następca musi budzić nadzieję.

Pracowita tupeciara

Bohaterką ostatnich dni jest w Niemczech **Andrea Nahles**. To m.in. dzięki niej udało się podpisać umowę koalicyjną między CDU/CSU i SPD. To ją też Martin Schulz namaścił na swoją następczynię na czele SPD, kiedy sam oświadczył, że odchodzi. I to ona teraz – choć wielu polityków widzi w niej ostatnią szansę dla zniknącej w sondażach partii – będzie musiała przekonać do siebie partyjne doły.

47-letnia Nahles jest *self-made women*. Urodziła się w niewielkim Mendig, w Nadrenii-Palatynacie, w bardzo katolickiej rodzinie. Dziś mieszka w niedalekim Weiler, i nadal jest praktykującą katoliczką. Już w gimnazjum powtarzała, że zostanie gospodynią domową albo kanclerzem. Do SPD dołączyła jako 18-latką, zakładając niedaleko rodzinnego miasta lokalne stowarzyszenie partyjne. Studiowała literaturę niemiecką, filozofię i nauki polityczne w Bonn. Była szefową młodzieżówki SPD („Jusos”), najpierw w Nadrenii-Palatynacie, a potem na poziomie całego kraju. Na koncie ma też stanowisko sekretarza generalnego SPD i szefowanie jej frakcji parlamentarnej, a od 2013 r. tekę ministra pracy w trzecim rządzie Angeli Merkel, gdzie udało jej się wywalczyć jeden z największych sukcesów politycznych socjaldemokratów, czyli 8,5 euro za godzinę jako minimalną pensję.

Tupeciara. Bezczelna i trochę nieprzewidywalna (jak wtedy, gdy w ramach krytyki rządu zaśpiewała w Bundestagu piosenkę Pippi Langstrumpf o tym, że kanclerz Merkel wzorem Pippi próbuje uczynić sobie świat takim, jaki jej się podoba), ale też niezwykle pracowita i pełna pasji. Ma wyraźne poglądy i – jak napisał ostatnio „Der Spiegel” – „serce po lewej stronie”.

Prasa niemiecka rozpisuje się też o podobieństwie Andrei Nahles do Angeli Merkel i o tym, że obie panie w swej karierze politycznej pokonały wielu mężczyzn. Obie też z tych potyczek wyszły niewzruszone. Merkel ceniła Nahles jako ministra pracy i uważała ją za bardzo kompetentną. Teraz, choć w koalicyjnym rządzie, obie są na dwóch skrajnych biegunach. A Nahles będzie musiała umiejętnie zonglować poparciem dla koalicjantów i zachowaniem zadowolenia we własnej partii, bo ta od miesięcy pogrąża się w personalnych kłótniach i zmierza ku autodestrukcji.





© AP/EAST NEWS

Konkordat z Chinami?

Watykan jest gotowy na ustępstwa wobec chińskich władz, co niektórzy katolicy postrzegają jako „wyprowadzenie” chińskiego Kościoła komunizmowi.

W najbliższych miesiącach dojdzie do przełomu w stosunkach Watykanu z ChRL. Takie pogłoski krążą po korytarzach kurii rzymskiej, a papiescy dyplomaci ich nie demontują. O historycznym porozumieniu piszą media globalne, chińskie i katolickie. Może dojść do nawiązania stosunków dyplomatycznych (kosztem likwidacji nuncjatury na Tajwanie). A w konsekwencji do zjednoczenia katolicyzmu chińskiego (ok. 12 mln wiernych). Katolicy chińscy są od dziesięcioleci podzieleni na Kościół „patriotyczny” (kontrolowany przez władzę) i „podziemny”. Pekin nie godzi się, by chińscy obywatele katolicy podlegali duchowej władzy papieża. Ci, którzy ją jednak uznają, gromadzą się w prywatnych domach lub prowizorycznych kaplicach na msze i uroczystości kościelne. „Podziemni” mają swych duchownych i biskupów, wiernych Rzymowi. Niektórzy zapłacili za to wieloletnim więzieniem, a nawet śmiercią.

Nadchodzące porozumienie ma przerwać ten stan rzeczy za cenę ustępstw głównie ze strony Watykanu. Papież Franciszek ma zdjąć ekskomunikę z siedmiu chińskich duchownych, wyświęconych na biskupów bez zgody Watykanu. Dwaj wierni papieżowi i prawu kościelnemu biskupi „podziemni” mają odejść na emeryturę lub przejść na niższe stanowisko, czyli ustąpić miejsca „patriotom”. W zamian kandydaci na nowych biskupów mają być konsultowani z Watykanem. Projekt oburzył część chińskich katolików. Ich głosem stał się sędziwy kardynał **Joseph Zen** z Hongkongu. Nazwał on ugodę „wyprowadzeniem” chińskiego Kościoła komunizmowi. Nie zgadza się na zamianę kościelnej „klatki z mniejszej na większą”. Jego bezkompromisowe stanowisko skrytykował z kolei watykańskie biuro prasowe. Zen uważa, że Franciszek nie rozumie natury chińskiego komunizmu, a sedno sprawy polega na tym, żeby katolików w ogóle wypuścić z klatki.

Lenin robi rewolucję

Miał być jedynie figurantem na przeczekanie, a tymczasem prezydent Ekwadoru **Lenin Moreno** coraz bardziej pogrąża swojego poprzednika i równocześnie potencjalnego następcę Rafaela Corréę. Ten ostatni stał na czele państwa przez 10 lat i tajemnicą poliszynela było, że chciał powrócić na fotel głowy państwa – w tym celu w 2015 r. wykreślił z konstytucji limity kadencji. Ekwadorczyki masowo zażądali jednak ich przywrócenia w referendum zorganizowanym przez obecnego prezydenta.

Moreno był zastępcą i członkiem ugrupowania Corréi, który myślał, że Lenin przetrzyma dla niego urząd (coś jak Putin i Miedwiediew). Ale krótko po zeszłorocznym zaprzysiężeniu nowy prezydent zmienił kurs: zbliżył się ze skonfliktowanymi z Corréą rdzennymi mieszkańcami Amazonii, wielkim biznesem oraz prywatnymi mediami, odciął się od ściganych za korupcję bliskich współpracowników poprzednika, a nawet



© EFE

publicznie oskarżył go o... zainstalowanie ukrytej kamery w pałacu prezydenckim.

Przywrócenie limitów kadencji stawia Moreno nie tylko w opozycji do jego poprzednika, ale także wielu innych przywódców w regionie: Daniel Ortega z Nikaragui wykreślił kadencyjność z konstytucji w 2014 r., w Boliwii Evo Morales będzie się ubiegał o czwarty mandat (mimo że wcześniej jego rodacy odrzucili taką możliwość w referendum), w Hondurasie Juan Orlando Hernández został w zeszłym miesiącu zaprzysiężony na kolejną kadencję pomimo wyraźnego zakazu w konstytucji, co wywołało ogólnonarodowe zamieszki. Na tym tle prezydent o rewolucyjnym imieniu Lenin okazuje się prawdziwym demokratą.

Święci i grzesznicy

Od czasu hollywoodzkiego skandalu Harveya Weinsteina trąba powietrzna przeszła przez politykę, biznes, a teraz dotarła do branży pomocowej, i najmocniej spustoszyła brytyjski **Oxfam**. Poszło o misję na Haiti, gdzie po trzęsieniu ziemi w 2010 r. pracownicy Oxfamu dopuszczali się nadużyć. A o szefie oxfamowskiej misji, Belgu Rolandzie Van Hauwermeiren i jego najbliższych współpracownikach, którzy urządzali orgie w wynajętej przez organizację willi, zapraszali prostytutki i w zamian za seks oferowali pomoc, powstał nawet wewnętrzny raport. Oxfam sprawę zamiótł jednak pod dywan. Przez lata nie tylko nikogo nie pociągnął do odpowiedzialności, ale też winni nie stracili pracy, tylko jeździli na kolejne misje.



Teraz, kiedy bomba wybuchła, okazało się, że Belg podobne wysoki miał już na poprzednich misjach, władze Oxfamu starannie go jednak chroniły, a alarmujący byli lekceważeni. Tocząca się lawina pokazała też, że ani Haiti nie było pierwszym miejscem, w którym dochodziło do nadużyć, ani Oxfam nie jest jedyną organizacją, której pracownicy dopuszczali się przestępstw seksualnych. Już w latach 90. oskarżono pracowników oengetowskich agencji, m.in. w Bośni i Hercegowinie oraz w Kosowie. Święci nie byli również żołnierze błękitnych hełmów i pracownicy organizacji Save the Children. A Lekarze bez Granic, wyprowadzając oskarżenia, sami niedawno przyznali, że i w ich szeregach zdarzają się podobne przestępstwa.

Sprawa Oxfamu jest dziś jednak najgłośniejsza. Z ambasadorowania tej organizacji zrezygnował arcybiskup Desmond Tutu, jej twarzą po 20 latach przestała być amerykańska aktorka Minnie Driver. Nosem kręcą też partnerzy biznesowi: Visa i Marks & Spencer. A brytyjski rząd i Unia Europejska rozważają odebranie wielomilionowych dotacji. W ten sposób Oxfam, który powstał w 1942 r. i jest jedną z najbardziej znanych organizacji pomocowych, obecnie w ponad 90 krajach i przodującą w ocenach projektów pomocowych, może wpaść w kłopoty równie szybko, jak to się zdarzyło firmie Harveya Weinsteina.

Dobry fachowiec, bo partyjny

W państwowych instytucjach obowiązuje zasada drzwi obrotowych – jedni wchodzą, drudzy wychodzą. Kiedy po wyborach rządy przejmuje nowa władza, drzwi szybko się kręcą. Tym razem jednak od dwóch lat nie przestają się obracać, a ostatnio nabrały wyjątkowego tempa.

Co je tak napędza?



G

dański koncern Energa od jesieni 2015 r. ma już siódmego prezesa. Niektórzy byli tak krótko, że nie zdążyli się czymkolwiek wykazać. Przychodzili i odchodzili, nie wiadomo dlaczego. Państwowy właściciel, nawet w spółkach publicznych, nie czuje się w obowiązku, by cokolwiek tłumaczyć, choć wpływa to na kurs akcji. Na razie Alicja Klimiuk ma status pełniącej obowiązki prezesa Energi, ale też poważne szanse na pełnoprawną nominację. Nie dlatego, że przemawiają za tym jakieś jej wyjątkowe kwalifikacje i osiągnięcia zawodowe, bo te dziś w państwowej gospodarce są raczej obciążeniem niż atutem. Ważniejsze są afiliacje polityczne, czyli który polityk wspiera tego czy innego menedżera. W biznesowej gwarze używa się określić „od kogo on jest” albo „do kogo raportuje”.

Prezes Klimiuk na przykład kojarzona jest z Jarosławem Zielińskim, wiceministrem spraw wewnętrznych, tym, którego policjanci posypywali z helikoptera własnoręcznie zrobionym konfetti i nosili za nim parasol. Zieliński jest liczącym się politykiem PiS, więc to dość mocna afiliacja. Pani prezes ma szanse przynajmniej na kilkumiesięczne rządy w Enerdze. Potem zapewne straci stanowisko, a może, jak jej poprzednik Daniel Obajtek, awansuje do jakiejś bardziej prestiżowej i jeszcze lepiej płaćcej spółki w rodzaju Orlenu.

Ale by to osiągnąć, trzeba być „od nie byle kogo”, a najlepiej od samego prezesa. Tak jak Obajtek, który jest kadrowym odkryciem PiS na miarę Mateusza Morawieckiego. Na Nowogrodzkiej mówią, że Kaczyński jest nim zauroczony tak jak premierem. Obajtek to dla niego ucieleśnienie ideału menedżera nowego typu: młody, nieprzesadnie wykształcony (świeżo zdobyty dyplom prywatnej uczelni radomskiej), więc nieskażony menedżerskimi mądrościami, za to nadrabiający siłą woli. Twardy, ideowy, gotowy realizować linię partii bez względu na koszty i konsekwencje.

To ważne, bo PiS unika zawodowych menedżerów. Taki jest efekt lekcji wyciągniętej z kłopotów premiera Donalda Tuska z prezesem Polskiej Grupy Energetycznej Krzysztofem Kilianem. Kilian, jako wieloletni przyjaciel Tuska i jego nieformalny doradca gospodarczy, został mianowany prezesem PGE z zadaniem doprowadzenia do budowy wielkiej elektrowni węglowej w Opolu. Odmówił jednak wykonania polecenia, tłumacząc, że z przygotowanych analiz wynika, że taka decyzja będzie niekorzystana, a jemu prawo zabrania działania na szkodę spółki. Mimo upomnień ze strony Tuska, żeby nie filozofował, bo elektrownia jest potrzebna krajowi, zdania nie zmienił i w efekcie stanowisko stracił. Następca już nie grymasił.

Odważny jak polityk

Zawodowi menedżerowie boją się wprowadzonego niedawno do Kodeksu karnego artykułu 296, który ma być batem na prezesów spółek, jeśli swymi nieodpowiedzialnymi decyzjami doprowadzą do znacznej szkody majątkowej. Grozi za to nawet 5 lat więzienia. I nie można się usprawiedliwić, że wykonywało się polityczne zadania. Tymczasem politycy coraz częściej domagają się od szefów państwowych spółek podejmowania decyzji o poważnym wymiarze finansowym, których racjonalność jest wątpliwa lub trudna do oszacowania.

Do gospodarki PiS bierze dziś ludzi, którzy nie mogą się długo zastanawiać, czy to dobre dla spółki czy nie. Mają nie dyskutować. Partia chce być postrzegana jako sprawna i błyskawicznie realizująca nawet najbardziej fantastyczne projekty. Niezależnie, czy to będzie budowa elektrowni atomowej, nowej kopalni węgla kamiennego, fabryki samochodów elektrycznych, gigantycznego lotniska czy podmorskiego gazociągu.

I taki jest Daniel Obajtek, który w Enerdze bez wahania podpisał się pod decyzją o budowie elektrowni węglowej w Ostrołęce (inna sprawa, że szanse na realizację są nikłe), a teraz zapewne podpisze się pod decyzją o budowie elektrowni atomowej przez Orlen. Jest więc przeciwieństwem swego poprzednika Wojciecha Jasińskiego. Ten bronił się przed angażowaniem Orlenu w wątpliwe ekonomicznie przedsięwzięcia i miał nadzieję, że dobre wyniki finansowe koncernu go osłonią. Tak kalkuluje wielu prezesów, ale zwykle się mylą, bo wyniki finansowe w decyzjach kadrowych specjalnie nie znaczą. Zresztą wiele państwowych spółek ma pozycję monopolistyczną i jest chroniona przez państwo, więc zyski przychodzą niejako mechanicznie.

Jasiński jest o pokolenie starszy i politycznie mocniejszy od swego następcy. To wierny druh i przyjaciel Jarosława Kaczyńskiego, członek kierownictwa partii. Jak przyznają w centrali PiS, Jasiński „raportował do Kaczyńskiego” i nikogo poniżej nie uznawał za godnego partnera. Także ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego, któremu formalnie podlegał. Według naszych informacji szef PiS był po prostu rozczarowany zbyt miękką ręką Jasińskiego. Zamiast ciąć równo do poziomu sprzątaczek, jak Obajtek w Enerdze, pozostawił spore grono menedżerów, których tam zastał.

Drugim niewybaczalnym błędem było zdanie się w bieżącym zarządzaniu na wiceprezesa Mirosława Kochalskiego. Kochalski w przeszłości pracował w Orlenu na kierowniczych stanowiskach, pełnił też obowiązki prezydenta Warszawy, był także prezesem Ciechu, w czasach gdy spółka ta jeszcze należała do państwa. Popadł więc w zgubny menedżeryzm, a na dodatek ciągnęły się za nim stare sprawy. Zasadził się na niego Patryk Jaki i jego sejmowa komisja repriwatyzyacyjna. Już w zeszłym roku politycy PiS zaczęli się domagać, by go wyłać z zarządu Orlenu. Jasiński się na to nie godził, więc ostatecznie i on stracił stanowisko.

Jest i taka hipoteza, że byłemu prezesowi i jego ludziom miały zaszkodzić zapowiedzi rozbudowy stacji benzynowych Orlenu o placówki handlowe, tak by obejść ustawę o zakazie handlu w niedzielę. Na pocieszenie dostał ofertę pracy jako doradca zarządu Orlenu. Obowiązki żadne, a zawsze tych kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie.

Obajtek zaczął już czyszczenie Orlenu, zaczynając od ludzi Kochalskiego. Na tym się jednak nie skończy, bo nowy szef koncernu naftowego wie, czego od niego oczekuje prezes PiS. Orlen to jedna z najbogatszych spółek, płaci ogromne pieniądze, więc chętnych nie brakuje. Trzeba jednak umiejętnie godzić oczekiwania wielu wpływowych polityków Zjednoczonej Prawicy, którzy będą forswali swoich kandydatów. Obajtek przeciwiczył to w Enerdze, która była zasiedlona przez armię politycznych nominatów kierowanych przez wpływowych pomorskich polityków: Andrzeja Jaworskiego, Jolanty Szczypińskiej, Jacka Kurskiego, Janusza Śniadka, Grzegorza Biereckiego. Trzeba było wszystkich umiejętnie obdarować wysokopłatnymi, a mało wymagającymi stanowiskami, bo przecież politycznych nominatów na stanowiska ściśle energetyczne kierować trudno. Jeszcze kogoś porazi prąd.

Przyzwoite pieniądze

Tak się złożyło, że PiS najchętniej i najszybciej zdobywał te przyzwoite pieniądze. Antoni Macierewicz po objęciu teki ministra obrony narodowej zadbał, żeby podporządkować sobie przemysł zbrojeniowy, dotychczas będący domeną ministra skarbu. Jego pierwszą decyzją było odwołanie zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej, w której skonsolidowano cały przemysł zbrojeniowy. Trudno traktować tę decyzję inaczej niż jako polityczną, ►